

Rajmund Szubański

Strzały na Miodowej

Przegląd Historyczno-Wojskowy 15 (66)/2 (248), 220-221

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Należy więc uznać, że wyprawa rumuńska była sukcesem lotnictwa polskiego, a przede wszystkim polskiego przemysłu lotniczego, który coraz bardziej rozwijał swoje skrzydła. Najbardziej wymierną korzyścią z tak udanego zaprezentowania za granicą nowych polskich myślicieli było złożenie przez Rumunię zamówienia na 50 sztuk samolotów P-11 b (wersji rozwojowej samolotu P-7). Zamówienie to dało zakładom lotniczym PZL impuls do dalszego rozwoju przez dopływ dodatkowych dewiz, kształcenie kadr technicznych, zwiększenie zatrudnienia itp. Bardzo istotnym czynnikiem, warunkującym powodzenie tego zamówienia, było pełne sfinansowanie go przez stronę kupującą (finansowanie tak dużych kontraktów było dla PZL olbrzymim problemem, czego przykładem może być np. fiasko porozumienia w sprawie zakupu samolotów P-11 przez Portugalię). Ponadto dzięki prawom licencyjnym, udzielonym Rumunii na produkcję P-11, Polska eksportowała rodzimą myśl techniczną, co świadczyło o poważnej pozycji naszego kraju w dziedzinie lotnictwa na arenie międzynarodowej. Były to więc bardzo wymierne finansowe i prestiżowe korzyści dla Polski. Kolejnym celem międzynarodowej wyprawy naszych lotników miała być Rosja Sowiecka, ale to już inna, równie interesująca historia²⁰.

Piotr Lech

²⁰ J. B. Cynk, *Siły lotnicze Polski i Niemiec: wrzesień 1939*, Warszawa 1989, s. 171–176; L. Rayski, *Słowa prawdy o lotnictwie polskim 1919–1939*, Londyn 1948, s. 40–47.

Strzały na Miodowej

We wspomnieniach „cichociemnego” Jana Jokiela znajduje się wzmianka o jego towarzyszu z przeprowadzonej nocą z 30 na 31 marca 1942 r. operacji zrzutowej, kurierze politycznym do Delegatury Rządu na Kraj, ppor. Jerzym Mara-Meyerze ps. „Filip”, który zginął w walce z Niemcami 27 maja 1943 r. Tak się złożyło, że jestem jednym z nielicznych, którzy prawdopodobnie widzieli go zaraz po śmierci i znają niektóre jej szczegóły.

W 1943 r. byłem uczniem Miejskiej Męskiej Szkoły Handlowej w Warszawie, zajmującej frontową część ostatniej kondygnacji kamienicy przy ul. Miodowej 25. Piętro niżej mieszkał jakiś folksdojcz czy rajchsdojcz. Przed południem 27 maja, był to chyba piątek, usłyszeliśmy nagle podczas lekcji liczne bliskie strzały z broni ręcznej i maszynowej, a wkrótce potem łomotanie do drzwi szkoły, jakieś okrzyki, brzęk tłuczonego szkła. Na chwilę wszystko ucichło, po czym dał się słyszeć tupot żołnierskich butów i słowa niemieckich komend, a może minutę później rozległa się znów intensywna strzelanina. Do naszej klasy weszło dwóch żandarmów, którzy kazali sprawdzić listę obecności, porównując ją ze stanem w dzienniku – i na tym się skończyło.

Podczas paury zaprzyjaźniony z nami woźny Matejak opowiedział nam w wielkiej tajemnicy, że dwaj uzbrojeni ludzie zaczęli dobijać się do wejściowych drzwi szkoły, wołając: *Jeśli jesteście Polakami, otwórzcie!* Zimną krwią i odwagą wykazał się wówczas nasz dyrektor Franciszek Jaworowski, który kazał otworzyć drzwi i wskazał uciekinierom drogę do drugiej klatki schodowej, z której prowadziło wyjście na dach, a nadbiegających wkrótce żandarmów zdołał – wysiedlony z Wielkopolski, znał perfektnie język niemiecki – przekonać, że musiał tak postąpić pod groźbą wycelowanych pistoletów, popartą wybiciem szyby w drzwiach.

Z okien pokoju nauczycielskiego można było zobaczyć leżące na dachu przeciwległej oficyny ciało zastrzelonego młodego, wysokiego mężczyzny, obok leżał duży pistolet, Vis albo Colt. Drugiego zabitego widzieliśmy, wychodząc po lekcjach. Leżał na podwórzu, tuż koło bramy, przykryty – nie pamiętam już dokładnie: jakąś płachtą, a może po prostu gazetami. Tyle mogę powiedzieć jako naoczny świadek.

Rajmund Szubański

Karabin samopowtarzalny wz. 38M dla Muzeum Historii Polski

Dnia 8 kwietnia 2014 r. w siedzibie Muzeum Powstania Warszawskiego odbyło się uroczyste przekazanie pozyskanego przez ministerstwa Spraw Zagranicznych i Kultury i Dziedzictwa Narodowego karabinu samopowtarzalnego wz. 38M konstrukcji inż. Józefa Maroszka. Docelowo eksponat ma wzbogacić kolekcję Muzeum Historii Polski, ale do czasu uruchomienia stałej ekspozycji dopiero tworzonej placówki będzie go można podziwiać w siedzibie Muzeum Powstania Warszawskiego.

Pozyskany eksponat ma szczególną wartość. Jest jednym z zaledwie kilku sztuk, jakie zachowały się na świecie. Ten konkretny egzemplarz, o numerze seryjnym 1019, trafił do Polski ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pierwotnie został on zgłoszony do aukcji internetowej, ale dzięki staraniom pracowników polskiego MSZ udało się nie tylko wycofać go z obrotu, ale też przekonać jego właściciela do przekazania go Polsce. Za przechowanie broni i dbałość o jej stan dotychczasowy posiadacz otrzymał rekompensatę finansową w wysokości 25 tys. dolarów. Środki na ten cel wyasygnowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Obecni na uroczystości minister kultury Bogdan Zdrojewski i podsekretarz stanu w MSZ Bogusław Winid podkreślali, że zarówno same negocjacje z posiadaczem broni, jak też uzyskanie zgody na jej wywóz z Ameryki były trudne i wymagały zaangażowania wielu osób, m.in. prawników i pracowników polskiej ambasady w Stanach Zjednoczonych.

Karabin samopowtarzalny wz. 38M, którego konstruktorem był inż. Józef Maroszek, to jeden z przykładów nowatorstwa polskiej techniki wojskowej, z której słynęła II Rzeczypospolita. Autor tej konstrukcji był też twórcą m.in. karabinu przeciwpancernego Ur wz. 35. Być może za swój wkład w rozwój polskiej techniki wojskowej Józef Maroszek zostanie uhonorowany przez społeczność Wesołej – obecnie jednej z dzielnic Warszawy, gdzie mieszkał przez wiele lat. Władze samorządowe podjęły bowiem inicjatywę, by jedno z rond zostało nazwane imieniem inżyniera.

Początki karabinu „Maroszka” to rok 1934, kiedy to Instytut Badań Materiałów i Uzbrojenia ogłosił konkurs na karabin samopowtarzalny. W wymaganiach zaznaczono, że chodzi o broń o kalibrze 7,92 mm, masie nie przekraczającej 4,5 kg, zasilaną magazynkiem o pojemności 10 naboji. Oczekiwano, że nowa broń będzie tania w produkcji i prosta w obsłudze, choć w wymaganiach nie sprecyzowano zasady działania automatyki broni. Na konkurs zgłoszono 10 propozycji, z których do dalszego postępowania wybrano trzy. Oprócz propozycji inż. Maroszka, opatrzonej roboczą nazwą „Turniej”, do dalszego postępowania zakwalifikowano też kbsp SKS skonstruowany przez inż. Stanisława Stefańskiego (odrzucony w kolejnym etapie konkursu) oraz kbsp ES skonstruowany przez inż. Edwarda Steckiego.